

RYSZARD MAREK GROŃSKI

TEGO, CO
CHCIAŁBYM
POWIEDZIEĆ
... NIE POWIEM

Jedyny rekwizyt – telefon. Ciężar słuchawki, kiedy przykładała ją do ucha. Potem głos. W zależności od rozmówcy energiczny, ściszony do szeptu, informujący o podjętej decyzji, ocieplony wspomnieniem długoletniej znajomości: – Mówi Judyta Keith.

Jesteśmy we Frankfurcie. Od dwóch lat kanclerz Rzeszy realizuje program zapowiedziany w *Mein Kampf*. Prawa obywatelskie mają jedynie aryjczycy. Judyta Keith jest Żydówką. Niearyjską żoną profesora medycyny. Już dziś spotykają go szykany ze strony personelu, zrywanie przyjaźni, szeptanina po kątach, że czas, by pożegnał się z kliniką. Judyta nie chce być grobem jego kariery. Pakuje się, wyjeżdża do Amsterdamu. Na zawsze, chociaż zapewnia rozmówców, że jej nieobecność potrwa kilka tygodni. Zjawia się mąż. Przyjmuje do wiadomości wersję o krótkim, relaksującym wyjeździe.

I podaje Judycie futro, które przyda się dopiero zimą, od której dzielą ich miesiące, goniłwa dni.

– Nie jestem jeszcze stara, ale eksperymentować już mi nie wolno. W kraju, do którego jadę, nie będzie chyba tak źle. Pierwszy mężczyzna, którego zdobędę, musi zatrzymać mnie przy sobie – monologuje Judyta, przemawiając do pustego krzesła.

To nie był przypadek, że *Niearyjską żonę* Brechta włączyła Ida Kamińska do spotkania z publicznością w dniu jubileuszu 50-lecia obecności na scenie. Jednoaktówka zabrzmiała aktualnie, odtwarzając sytuację tych, co stali się celem propagandowych ataków – jako „syjoniści”, „agresorzy”, „sympatycy Dajana”, „Moški” nie mające nic wspólnego z Polską. Według nowej klasyfikacji kwitów esbeckich niearyjska żona czy skażony piętnem żydowskim mąż stawali się podejrzani.

W kawiarniach powtarzano na ucho:

- Jaka jest różnica między II RP a PRL?
- W II RP antysemityzm nie był obowiązkowy.

Ida Kamińska na jubileuszowym spektaklu grała Judytę Keith, daleką od polityki mieszczkę przywaloną nieszczęściem, zagładą jej świata. Ale – na tym właśnie polegała wielkość tej roli – pokazała współczesne odpowiedniki postaci profesorowej. Wypalone, przerażone tym, co się dzieje, lecz zachowujące pozory spokoju. I nadal liczące na to, że obiekty ich uczuć nie ulegną konformistycznym pokusom, staną przy nich. Rozstanie ze złudzeniami...

Pani Ida potrafiła uczynić z kruchości siłę, z kłęski i odwrotu wiarę w przyszłość. Oznajmiła mężowi, że nie chce, by odprowadził ją na dworzec. Ile takich kobiet – zdradzonych w chwili próby – oglądał Dworzec Gdański? Ale nim to nastąpiło, musiały upłynąć miesiące. Jeszcze nie ruszyła wymuszona emigracja. Jubileusz Idy Kamińskiej – fragmenty przedstawień i pokaz filmu *Jej teatr* – to wrzesień 1967 roku. Nie ucichły, wracały echem słowa Gomułki o przyczajonej Piątej Kolumnie.

Może dlatego obecność na gali żydowskiej aktorki była obowiązkiem, manifestacją solidarności z przedstawicielką tradycji żydowskiej sceny i niełatwej wspólnoty losu.

Czekano, co powie jubilatka. Czekano zwłaszcza po osobliwej mowie ministra Kazimierza Rusinka, którą trudno byłoby nazwać laudacją. Partyjny funkcjonariusz zestany do kultury zamiast o zasługach pani Idy mówił o haniebnej agresji Izraela na pokojowe kraje arabskie, domagając się jej potępienia. Kiedy Rusinek odczytał to, co miał napisane na kartce (w PRL nawet przemówienia były na kartki), Ida Kamińska wstała z fotela ustawionego na scenie. Szybkość ruchów, błysk oka:

– Tego, co chciałam powiedzieć – nie powiem. Jednak wszyscy tu obecni wiedzą, co chciałam powiedzieć. I to powinno nam wystarczyć, prawda?

Publiczność wstała z miejsc. Oklaski przechodzące w owację. Sypiące się na scenę kwiaty.

– Zamiast prawomyślności – prawomyślność – szepnąłem do Beaty Tyszkiewicz, z którą przyszedłem do teatru, bo bardzo chciała zobaczyć legendę. Matka Beaty, pani Basia, opowiadała jej o *Mirele Efros* granej przed wojną w teatrze na Obożnej.

Ja tę legendę oglądałem wiele razy jako widz, wpuszczany przez bileterki nie pytające o wiek. W szarym jak dym z fabrycznych kominów mieście, Teatr Żydowski był kolorem, gwarem umilkłych głosów, słowami, które słyszało się nadal na Wschodniej, Kilińskiego, Jaracza. Przedstawienia zapadające w pamięć – montaż *Sen o Goldfadenie* Rotbauma, *Strach i nędzza III Rzeszy* Brechta w reżyserii Konrada Swinarskiego, *Mutter Courage* również Brechta, z wielką rolą Kamińskiej, zapomniany dziś dramat Krucz-

Teraz sama już nie wiem, kto miał rację, kto lepiej wybrał: ja, emigrując, czy wy, zostając tutaj



kowskiego *Juliusz i Ethel*, no i ludowe komedie, żarty Hocmacha, *dwaj Kuni Lemel*, piosenki zrywające się do lotu, poetycka klamra spinająca terażniejszość i przeszłość, sylwetki aktorów wpisane na zawsze do historii żydowskich scen: Abraham Morewski, Chewel Buzgan...

Na Południowej Hersz Gips wydawał obiady domowe. Tam na wątróbkę, parujący rosół, czulent i gęsie szyjki przychodziła Ida Kamińska. Zostałem jej przedstawiony z prawem przysłuchiwania się niecenzuralnym opowieściom. A więc marzeniem pani Idy było zaproszenie na występy Szlomo Michoelsa i jego Teatru Kameralnego. Na polecenie Stalina teatr grający w Moskwie w jidysz zamknięto, rozpedzono zespół. Sam zaś Michoels, genialny odtwórca Króla Lira, zginął w zainscenizowanym wypadku. Stalin – mówiono o tym – ogarnięty paranoją najpierw zabrał się za lekarzy „syjonistów”. Potem, w kwietniu 1953 roku miało nastąpić wysiedlenie przeszło miliona rosyjskich Żydów w odległe i mroźne regiony imperium. W transporcie połowa zesańców miała zginąć – z głodu, pragnienia, nieludzkich warunków w zatłoczonych wagonach. W Polsce podobno przygotowywano już listy, szykowano pod Białymstokiem baraki na przyjęcie pierwszej partii „pochodzeniowców”. Mało o tym wiadomo, lecz ja pamiętam tży w oczach Idy Kamińskiej, kiedy wracał ten temat: za kordonem, bez możliwości powrotu do Polski, byli przecież jej córka, zięć, przyjaciele.

Kto wie, może recydywa wspomnień z tamtych lat sprawiła, że w 1968 roku zdecydowała się na emigrację. Myślała, że to już koniec. Ale Teatr Żydowski, noszący dzisiaj jej imię i imię jej matki, ocalał. Nadal gra. Największa to chyba pochwała, uznanie zasług dyrektora Szymona Szurmieja, Gołdy Tencer i całego zespołu – będąc z wizytą w Warszawie pani Ida zdobyła się na wyznaczenie, które nie przyszło jej łatwo:

– Teraz sama już nie wiem, kto miał rację, kto lepiej wybrał: ja, emigrując, czy wy, zostając tutaj.